

Z OKŁADKI | JUSTYNA WASILEWSKA

Szczęście ROBIE SOBIE SAMA

*Długo miałam problemy
z artykułowaniem
swoich myśli. Umiałam krzyczeć
i się śmiać, ale nie umiałam
budować jasnych zdań*

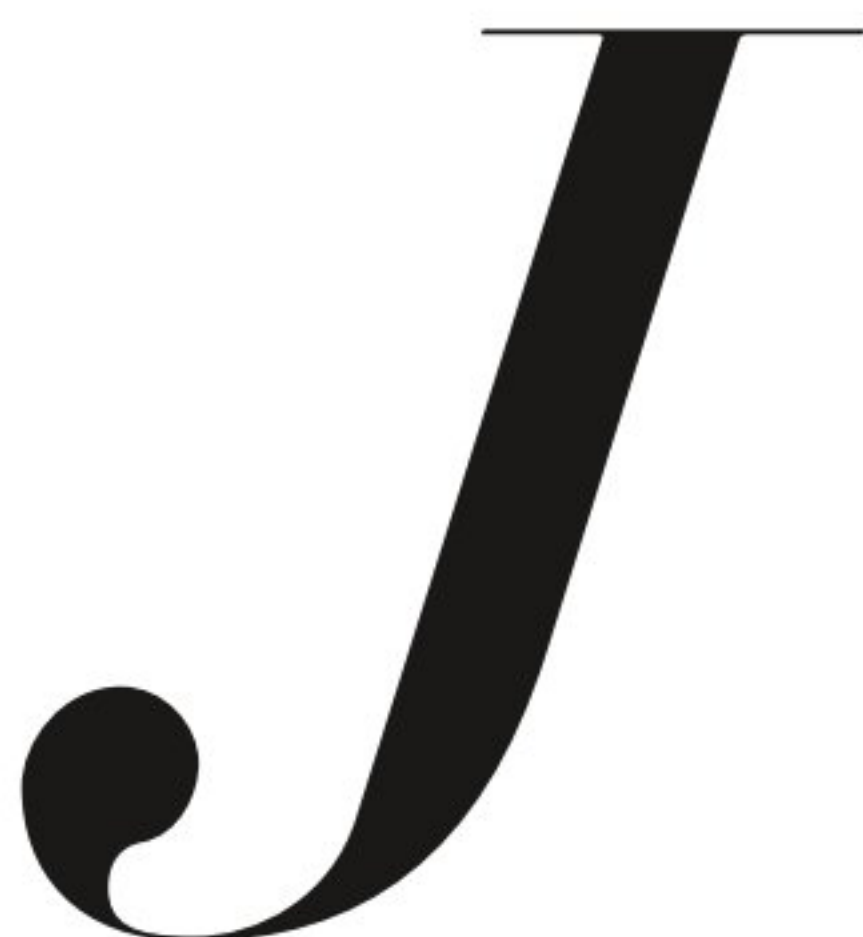
z aktorką JUSTYNĄ WASILEWSKĄ
rozmawia MAJA STANISZEWSKA
zdjęcia JACEK PIOTROWSKI/JACEKPIOTROWSKI.COM





JUSTYNA WASILEWSKA

– urodziła się w 1985 roku we Wrocławiu. Absolwentka Wydziału Aktorskiego PWSFTviT w Łodzi. Występowała w Teatrze Jaracza w Łodzi, Starym Teatrze w Krakowie, od 2014 r. należy do zespołu TR Warszawa. W kinie można ją było zobaczyć m.in. w filmach „Kebab i horoskop” (2014), „Sztuka kochania”, „Serce miłości” oraz „Pomiędzy słowami” (wszystkie 2017)



Jutro wyjeżdżasz do Paryża, co spakowałaś?

– Najbardziej podstawowe rzeczy. Mam tam wspinałą, szaloną ciotkę, która jest dla mnie ikoną Paryża. Zawsze zabieram od niej jakieś ciuchy, z których „wyrosła” (*śmiech*). O ciotce można by zrobić niejeden film w niejednym gatunku. Ma ponad 60 lat, pół roku mieszka w Paryżu, a drugie pół na ciepłej wyspie, uwielbia młode męskie ciała, drzewa, spacerować i seks. Wyjechała z Polski w latach 80., była zawsze wolnym duchem, kolorowym ptakiem, potrzebowała wolności i w Paryżu ją znalazła. Sztukę życia opowiadała w stu procentach. Chodzimy kilometrami, siedzimy w kawiarniach. Zawsze jest z nią zabawa.

Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Paryża z kuzynostwem w 1992 roku, tuż po transformacyjnych obaleniach murów, to był dla mnie totalny szok. Było nas sześcioro, ciotka zabrała nas do Disneylandu, a żeby było ciekawiej – wkręciła nas za darmo. Nie wiedziałam, że taki świat istnieje. Już sam Paryż był jak z bajki, a potem jeszcze w Disneylandzie spotkanie z Alicją z Krainy Czarów i Aladynem, o których myślałam, że są prawdziwi. To było szaleństwo, chociaż miałam tylko siedem lat, do dziś zostały mi w głowie obrazy stamtąd. Podobnie miałam, kiedy przyjechałam po premierze „Amelii” i pobiegłam na Montmartre do kawiarni, w której pracowała filmowa bohaterka. Oszalałam tam, uwierzyłam, że jestem częścią filmowego świata i jak Amelia celebrowałam dźwięk pękającej słodkiej skorupki na crème brûlée, zanurzałam palce w worku z ziarnem w warzywniaku obok. Przez lata schodziłam Paryż wzdłuż i wszerz. Ktoś powiedział, że to jedyne miasto, w którym bardziej opłaca się patrzeć przed siebie niż w gwiazdy.

Jesteś podobna do ciotki?

– Obie jesteśmy ciekawe świata i obie nie liczymy na szczęście, tylko sobie to szczęście robimy.

Co było szczęściem, jak byłaś mała?

– Chodzenie po drzewach, wodne lody w papierku, nurkowanie w jeziorze, chlebek smażony z miętą z ogródka podjadany przy japońskich bajkach typu „Czarodziejka z Księżycy”, podglądanie ludzi w sytuacjach, gdy myślą, że nikt nie patrzy, śpiewanie do lustra z dezodorantem zamiast mikrofonu i Edyta Górniak (*śmiech*). Strasznie mi śmiesznie, jak o tym mówię, ale jako 10-11-latka byłam szaloną fanką musicalu „Metro” i Edyty Górniak. Jej zdjęcia miałam w całym pokoju, modliłam się, żeby Bóg pozwolił mi być jej przyjaciółką. Kiedyś podpisywała płyty we Wrocławiu. Czekalam na nią na zapleczu, ona wsiadła do auta, a ja na bagażniku przejechałam dwie przecznice. Wyobraź sobie stopień mojej determinacji. Do tej pory mam sentyment do jej pierwszej płyty. To jest ścieżka dźwiękowa mojego dzieciństwa, obok Edith Piaf i Marka Grechuty. Wszystkie piosenki z „Metra” znałam na pamięć. Niedawno dowiedziałam się, że wciąż to grają. Niesamowite zjawisko, bo przecież ten spektakl jest świadectwem jakiejś epoki, której już nie ma, a jednak ludzie wciąż chcą go oglądać.

Długo trwała twoja fascynacja?

– Kiedy zaczęło się nastoletwo, wszedł mrok – Nick Cave, Tom Waits, The Doors. Choć buntownicza młodość nie była jednak w moim przypadku aż tak bardzo buntownicza, bo moje dorastanie jest opóźnione w stosunku do standardów i cały czas się dzieje. Mam wrażenie, że długo byłam dzieckiem, a właściwie wciąż nim jestem. To był też czas „Gry w klasy” Cortazara, „Stu lat samotności” Marqueza, „Czarodziejskiej góry” Manna, „Łuku triumfalnego” Remarque’a. To były moje biblie – pomazane, popodkreślane, pozaznaczane, oprawione w moje własne okładki. Wciąż są dla mnie ważne, nie skompromitowały się. Na zajęciach teatralnych w Młodzieżowym Domu Kultury

dostałam biografię Camille Claudel. Zafascynowała mnie.

Chciałaś zostać rzeźbiarką?

– W jej biografii był bardzo emocjonalny, bardzo poetycki opis dzieciństwa wśród lasów, pól, kamieni, ucieczki do natury. Było to dla mnie coś na tyle przejmującego i bliskiego, że idąc za tym, pomyślałam o rzeźbie. Dziś wiem, że była to bardziej fascynacja tragiczną historią kobiety, która nie mogła się wyemancypować, która nie miała prawa być pełnoprawną artystką, niż rzeźbiarstwem.

Dorastałaś wśród lasów, pól, kamieni?

– Dorastałam w bloku na Karłowicach we Wrocławiu. Ale mam babcię, która ma duży ogród przy domu położonym nieopodal jeziora. W tym ogrodzie i okolicach sobie hasałam, bawiłam w różnych ludzi. I robię to do dziś.

Grałaś księżniczki, piratów czy tragiczne artystki?

– To się zmieniało – od Piotrusia Pana, przez Pocahontas, po psa. Mieliliśmy z kuzynami swoje małe eldorado dla wyobraźni. To było wspaniałe. Dróżki między pomidorami zamieniały się w mordercze labirynty...

W klasyczne przedstawienia też się bawiłaś?

– Nie, wtedy jeszcze nie miałam świadomości, że istnieje coś takiego jak teatr. Odkrywany był w zabawie we wcielanie się. Jako przedszkolak poszłam do teatru lalek. Jego ciemne zakamarki były jak kraina czarów.

Ciągnęło cię do występowania?

– Ciągle to robiłam, byłam klaunem, zaba-wiaczem. Ale nie byłam ani ulubienicą polonistki, ani gwiazdą szkolnych akademii. Mam dysleksję i dysortografię, bardzo długo miałam problemy z artykułowaniem swoich myśli. Umiałam krzyczeć i się śmiać, ale nie umiałam wypowiadać się klarownie, budować jasnych zdań. Zawsze meandry, dygresje i dużo emocji. Do dziś mi tak zostało, choć »





jest lepiej. Ostatnio przeczytałam jedno z moich licealnych wypracowań, okazało się zupełnie przypadkowo poetycką opowieścią szkatułkową, w której podjęłam 38 tematów zamiast tego zadanego. To coś o mnie.

A co do występów – w domu walczyłam o uwagę rodziców i brata. Chciałam być wi-

piętro wyżej, do kółka teatralnego. I wsią-
klam. Biegałam na zajęcia dwa razy w tygo-
dniu, spotykaliśmy się też po nich. Stamtąd
pochodzą moje najtrwalsze przyjaźnie, zna-
jomości, relacje z ludźmi, którzy uwierzyli,
że można patrzeć szerzej i wrażliwiej na rze-
czywistość. Mnóstwo czasu spędzaliśmy ra-

na wrażliwość, neurotyczność i autode-
strukcyjne umiłowanie wody. Nie znałam
teatru tak, jak znam go dzisiaj, byłam ogra-
niczona do tego, co proponował mi Wro-
cław. Choć jak się nad tym dziś zastana-
wiam, to dużo ciekawych rzeczy się działo
we Wrocławiu mojego dorastania. We



dziana i „patrzona”. Mój brat jest o siedem lat starszy, zawsze spełniał rzetelnie funkcje starszego brata, na sankach mnie woził, ale w sytuacjach konfliktowych musiał mi ustępować. To nie było chyba dla niego zbyt komfortowe, bo ja się pewnie strasznie darłam. Ale zawsze był bardzo opiekuńczy, wciąż jest.

Jak trafiłaś na zajęcia teatralne?

– Potrzebowałam jakiegoś zajęcia w ferie i próbowałam dostać się na garncarstwo, ale nie było już wolnych miejsc. Poszłam więc

ztem. Naszym ulubionym miejscem było Pod Nasypem, taka mała zakapiorska knajpa niedaleko Teatru Polskiego, jakby wyjęta z PRL-u, właśnie pod nasypem kolejowym. Z dudniącym pociągami przejeżdżającym nad głowami. Tam powstawały rozmaite pomysły, plany i marzenia na przyszłość. Ja marzyłam o teatrze.

Chciałaś być Ofelią?

– To nie były marzenia o konkretnych rolach, raczej o alternatywnych światach. A Ofelia zawsze była mi bliska ze względu

Współczesnym zobaczyłam pierwszy spektakl, który zrobił na mnie ogromne wrażenie, czyli „Oczyszczonych” w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego. Teatr Polski proponował Lupe – „Przypadki Klary”. A jeśli chodzi o film, zawsze miałam zajoba na punkcie Agnieszki Holland. Pierwszy jej film, jaki widziałam to był „Tajemniczy ogród” oglądany na koloniach dla powo-
dzian u sióstr zakonnych. Dużo chodziliśmy tam do kościoła, i to nie robiło na mnie wrażenia, za to ten film okazał się doznaniem »

metafizycznym. Miałam po nim wielką zająkę, żeby znaleźć miejsce ukryte, tajemne, na pewno gdzieś takie dla mnie jest, mój zaczarowany ogród. Zaczęłam oglądać wszystkie filmy Holland. Dziś jest dla mnie wzorem postawy – obywatelskiej, społecznej, artystycznej. To było i wciąż jest moje marzenie, żeby się z nią spotkać w pracy.

Powódź mocno cię dotknęła?

– Mój ojciec miał na terenach zalanych szwalnię dżinsów i pralnię, małą fabryczkę. Woda ją zabrała. Jednego dnia straciliśmy wszystko, na czym opierał się nasz byt. To dramatyczna historia, ale nie zdawałam sobie z tego wtedy sprawy – miałam 12 lat, jeździłam BMX-em po zalanych terenach, fascynowała mnie woda, nie wiedziałam, jak wpłynie na życie mojej rodziny. Długo z tego potem wychodziliśmy, ale rodzice starali się mnie chronić, żebym tego nie odczuwała za mocno. To było bardzo heroiczne z ich strony, żeby to wszystko na nowo zorganizować.

Ucieszyli się, kiedy postanowiłaś zostać aktorką?

– Nie mieli wyjścia. Nie miałam też żadnej tradycji rodzinnej – ani artystycznej, ani prawniczej czy lekarskiej. Miałam po prostu ciekawych ludzi do obserwowania. Tutaj jest początek fascynacji sztuką. Miałam babcię, która była przedziwną energetycznie postacią, tajemniczą, fascynującą i przerażającą jednocześnie. No i ten ogród u drugiej babci... Gdzieś tam to się zaczęło.

Opowiedz o babciach.

– Opowiem trochę przez pryzmat dziecka. Podzieliły się we mnie na dwa pałace – jedna była Czarną Królową, druga Białą. W jednej była tajemnica, w drugiej – idylla. W jednej ciemne korytarze, pianino, kołysanki i bajki, które zawsze były przedziwne jak horrory. Ta babcia, mama mamy, miała niewiarygodną siłę. Jak czarownica. Było w niej coś bardzo bliskiego Camille Claudel, jej życie też miało potencjał, który został wykasowany przez mężczyznę. Była cała jednym wielkim artystycznym projektem – śpiewała i opowiadała piękne historie, ale była niejednoznaczna, z dużym zapleczem tajemnicy i złości. Miała pokój zamykany na klucz, w którym gromadziła kapelusze, korale, własny, przedziwny świat. Uwielbiała słońce, ale jej mieszkanie było bardzo ciemne. Była aktorką życia. A druga babcia, mama taty, jest jak z pocztówki – racuchy, chlebek smażony, mięta, dbanie, karmienie, po-

zwalanie na bieganie, smyranie na dobranoc. I ten słoneczny ogród. Ten ogród mi się z nią zlewa. Często do niej jeżdżę, mam dużą rodzinę po stronie taty, który ma trzy siostry, i tam jest zawsze dużo dzieci, cała brygada.

A wracając do studiów – zdawałam do szkoły teatralnej, alternatywą była Akademia Sztuk Pięknych, ale pragnienie aktorstwa było tak mocne, że wiedziałam, że będę próbować do skutku. Za drugim razem dostałam się do łódzkiej szkoły filmowej, która jeszcze wtedy była przed remontem, pełna zakamarków, gratów, śladów po Wajdzie i Polańskim, dymu z papierosów Kieślowskiego. Sama Łódź była jednak dla mnie odstręczającym miastem. Trafiłam tam z pięknego, mieszczańskiego, zadbanego Wrocławia. Wydawała mi się miastem brutalnym. Szkoła na szczęście mnie wciągnęła, więc prawie z niej nie wychodziłam. Była oazą. Dziś i szkoła, wyremontowana, rozwijająca się, z reaktywowanym studium filmowym, ale i Łódź się bardzo zmieniły. Na lepsze. Panuje twórczy ferment.

Już w szkole debiutowałaś na scenie, w łódzkim Teatrze Jaracza.

– Najpierw robiłam zastępstwo u Pawła Łysaka jako Sasza w „Iwanowie”, potem byłam wiedźmą w „Makbecie” Mariusza Grzegorzka. Takim poplątanym gnomem w glinianej masce, demoniczną istotą. W szkole grałam w filmowych etiudach studenckich, uczyłam się bycia na planie, ale to jest praca z równolatkami, której wszyscy uczymy się jednocześnie – operatorzy, reżyserzy, aktorzy. Wszyscy są debiutantami. W teatrze było inaczej. Pociągał mnie, bo jest niejednoznaczny.

Czułaś się na swoim miejscu?

– Zdecydowanie. Na początku bardzo dużo mnie to kosztowało emocjonalnie, ale wchodziłam w coś w rodzaju małego transu, jak w tańcu, i gdy to się włączało, nie myślałam o tekście, o tym, co mam robić, tylko grałam. To jest wyjątkowe odczucie, jestem chyba od niego uzależniona.

W Jaraczu spędziłaś kilka lat.

– Tak, ale jednocześnie próbowałam robić jakieś rzeczy w Warszawie, grałam w serialu „Samo życie”, musiałam jakoś zarabiać. To było dla mnie szokujące i trudne doświadczenie. Zderzenie moich idealistycznych oczekiwań co do zawodu z jego codziennością. Moje poczucie misji zderzyło się z wykonywaniem zadań „od do”. Teraz

jest dla mnie naturalne, że są różne oblicza aktorstwa. Ale wtedy to było sprzeniewierzenie się wartościom, które wówczas wyznawałam.

Grałaś jednak w kolejnych serialach – „Hotelu 52” czy teraz w „Drugiej szansie”.

– Gdy się oddziczyłam, zrozumiałam, że to przyjemna forma zarabiania pieniędzy. Trudna, bez prób, czasem na niedobrych dialogach, z niewielką ilością danych do ulepienia sobie roli. Podziwiam ludzi, którzy na co dzień pracują w tasiemcowych serialach, ale nie chciałabym tego robić, bo to jednak jakoś osłabia czujność. Ale może po prostu nie umiem tego robić?

Po pierwszym serialu zagrałam w warszawskim Nowym Teatrze w „Życiu seksualnym dzikich” w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego. To była odtrutka. Dostałam też propozycję ze Starego Teatru w Krakowie, gdzie spędziłam kilka miesięcy bardzo „po krakowsku”. Ale nie byłam w stanie tam zostać – Kraków jest dla mnie jak makietka turystyczna. Codzienne przechadzki po Rynku doprowadzały mnie do wrzenia – te konie biedne, stworzone do wolności, w miejscu przebijające kopytami, w idiotycznych nakryciach głowy... W Warszawie przynajmniej tego nie widzę. Tego absurdu, w którym człowiek ujarzmia zwierzę dla swoich korzyści, szczególnie że w dzisiejszych czasach już nie musi tego robić. Mam nadzieję, że to będzie następny krok w rozwoju cywilizacji – uwolnienie zwierząt. Uciekłam z Krakowa, gdy zaproponowano mi udział w spektaklu w Warszawie. To nie był artystyczny wybór, tylko ludzki – wybrałam miejsce, które lepiej nadaje się dla mnie do życia. Jednocześnie grałam też w teatrze w Poznaniu, więc kursowałam przez lata między Łodzią, Krakowem, Warszawą i Poznaniem. Muszę być w ciągłym ruchu, to jest element mojej osobowości.

A gdzie jest dom?

– Nie mam domu w pełnym słowa tego znaczeniu. Symboliczny zawsze będzie tam, gdzie będą moi rodzice. Tymczasowy jest na Żoliborzu. Teatr jest trochę domem, a rodziną zastępczą – zespół. Ale myślę, że to jest tylko etap.

A twoja wrocławska paczka? Należą do niej między innymi Jagoda Szalc, której nagrodzony w Gdyni debiut fabularny „Wieża. Jasny dzień” właśnie wchodzi do kin, i Aleksandra Terpińska, u której zagrałaś w nagrodzonych w Cannes



1

2

1 Justyna Wasilewska jako nowoczesna Balladyna w spektaklu Krzysztofa Garbaczewskiego w Teatrze Polskim w Poznaniu, premiera styczeń 2013 r.

2 W filmie Marii Sadowskiej „Sztuka kochania. Historia Michaliny Wislockiej” jako Wanda, przyjaciółka z młodości, a później rywalka Michaliny Wislockiej, 2017 r.

3 U Łukasza Rondudy jako współczesna artystka Zuzanna Bartoszek, 2017 r.



3



MIAŁAM WRAŻENIE, ŻE MOJA JEDYNA SIŁA TO MOCNE, GRUBE,
GĘSTE WŁOSY. ZASŁANIAŁAM SIĘ NIMI PRZED ŚWIATEM

krótkometrażowych „Najpiękniejszych fajerkach ever”.

– I jeszcze kilka innych osób. Spotykamy się, gdy tylko mamy okazję, nie jest to codzienne spędzanie ze sobą czasu, ale jak się zdarza, jest bardzo intensywnie. To są przyjaźnie, które nie wyobrażam sobie, żeby coś mogło zniszczyć. One też są już rodziną.

Jagoda mówi, że zrobiłaś muzykę do jej pierwszego filmu, jeszcze gdy była na ASP.

– Miałam w tym filmie też grać kobietę-ospę wietrzną, ale nic z tego nie wyszło. Spędzam długie, przyjemne godziny przed komputerem z programem GarageBand, robiąc sobie hobbystycznie muzykę. Jagoda zapytała, czy nie mam czegoś, więc jej wysyłałam nagrane na podstawowy dyktafon moje brzdąkanie na pianinie zmiksowane z dziwnymi oddechami, przeszkadzajkami i szumami. Kocham grać na pianinie, nieustannie improwizuję, nie jestem w stanie powtórzyć dwa razy tej samej melodii. Jest to dla mnie rodzaj medytacji.

Nigdy nie ćwiczyłaś gam?

– Jako dyslektykowi trudno mi je zrozumieć. Zresztą teraz jest nowe podejście do nauki gry na pianinie, bardziej intuicyjne, na zasadzie rozegrania i ja właśnie coś takiego sobie zapodałam w dzieciństwie, na pianinie babci, tej Ciemnej Damy. Opowiadałam sobie bajki ze ścieżką dźwiękową. Wciąż pamiętam obrazy, które pojawiały się wtedy w mojej głowie.

A z Aleksandrą Terpińską jak długo się znacie?

– Chodziłyśmy razem do liceum i trzykrotnie się razem od tamtych czasów. Kiedy pisała scenariusz „Najpiękniejszych fajerków ever”, nawet mieszkaliśmy razem, wynajmowałam od niej pokój.

Wracając do Paryża - masz z niego ubrania od ciotki i z lumpeksów. A jakie lubisz najbardziej?

– Wygodne. To prawdziwa zdobycz naszych czasów. Bo przecież jeszcze kilkadziesiąt lat temu kobiety były zmuszone do noszenia niewygodnych ubrań, które je ograniczały...

Jak Wanda, twoja bohaterka ze „Sztuki kochania”. Elegantka z lat 40. w wąskiej spódnicy, dopasowanym żakiecie, kapelusiku, na obcasach, z ułożonymi włosami. Spętana przez ubranie.

– Ale jako Wanda wcale nie czułam się spętana. Przeciwnie – miałam frajdę, bo te wszystkie rzeczy pomagały mi w budowaniu postaci. Najmniejszy element może dać sygnał dla wyobraźni, sygnał dla ciała, któ-

ry pomoże zbudować postać. U Wandy pomagały mi te wszystkie drobiazgi – obcasiki, rękawiczki, torebeczki, nawet małe guziczki przy mankietach. To było dla mnie przyjemne. I sądzę, że dla Wandy, dla kobiet z tamtych czasów, też. Mogły tego kobiecego arsenału używać.

Umiesz chodzić na obcasach?

– Umiem chodzić dobrze na obcasach, umiem chodzić na obcasach źle i umiem nie umieć chodzić na obcasach (*śmiech*). Choć na co dzień zakładam je bardzo rzadko. Jak ma się pracę, w której człowiek musi się bez przerwy przebierać, to po pracy już mu się nie chce. Wiem, że ubranie jest częścią codziennego performance’u, mocnym narzędziem w komunikowaniu się człowieka ze światem. Czasem pobawię się niepasującymi do siebie albo wyglądającymi śmiesznie rzeczami, ale żeby poświęcać temu więcej uwagi? Od ciotki dostałam jakieś stare Diory, ale jak wygląda współczesny Dior, nie mam pojęcia. Mam strasznie dużo ciuchów, bo nie umiem ich wyrzucać, ale w większości z nich nie chodzę. W mojej szafie mógłby się ubrać każdy – od dziecka po staruszkę, chłopca, dziewczynkę, nie wiem, czy dla psa nie ma jakiegoś

bycia ekstremalnie odsłoniętą po byciu ekstremalnie zasłoniętą.

Dla widzów twoja metamorfoza od elegantki do kosmitki między styczniem, kiedy miała premierę „Sztuka kochania”, a grudniem, gdy do kin weszło „Serce miłości”, mogła być szokująca. Reagowali jakoś?

– To superdoświadczenie – patrzeć, co się zmienia we mnie, a co się zmienia na zewnątrz, w odbiorze przez ludzi. Daje szansę stworzenia sobie stałego gruntu. Widać, że odbiorem publiczności można sterować. Można bardzo łatwo stworzyć kogoś, kogo nie ma, i pozwolić wsadzić go w szufladę. Super, że można się temu tak łatwo wyknąć.

Na naszych zdjęciach jesteś zakręconą chłopczycą, na innych - femme fatale. Co jest ci bliższe?

– Jestem tym i tym, i jeszcze paroma rzeczami po drodze. Chciałabym nigdy się nie zatrzymać, nie nazywać tego, czym chcę być. Ciągłe się stawanie.

A jak wybierasz role?

– Wybieram? (*długi śmiech*) Jak aktorka w Polsce może wybierać role? Walczę o filmowe role, na których mi zależy, czasem się udaje, ale „wybierać role” to dla mnie abstrakcyjne pojęcie. W teatrze mogę

UMIEM CHODZIĆ DOBRZE NA OBCASACH, UMIEM CHODZIĆ NA OBCASACH ŹLE I UMIEM NIE UMIEĆ CHODZIĆ NA OBCASACH

wdzianka. Sąsiadka trzy razy mnie nie poznała, brała mnie za różne osoby. I to było, zanim ogoliłam głowę do „Serca miłości”. Ubranie mnie zmienia.

No właśnie - dla Zuzanny Bartoszek, artystki, w którą się wcieliłaś w tym filmie, zgoliłaś włosy. Trudne to było?

– Trudno fajne, fajnie trudne. Nigdy nie miałam luźnego podejścia do włosów. Przeciwnie, miałam wrażenie, że to jedyna moja siła – mocne, grube, gęste włosy. Zasłaniałam się nimi przed światem. Cały czas mam zresztą te odruchy fantomowe, próbuję je zagarniać na twarz, ale coraz rzadziej. To była jakaś ucieczka. Teraz wydaje mi się to śmieszne. Fajnie mieć takie doświadczenie

z czegoś zrezygnować, ale tam zazwyczaj role wybierają mnie. Najbardziej zdarza się, i teraz właśnie w Paryżu mam taki przypadek, że rola wynika jakoś ze mnie. Zaczynamy z Katarzyną Kalwat pracę nad projektem „Extasis”, koprodukcją TR Warszawa z Cite International des Arts. Na razie o tym rozmawiamy, szukamy inspiracji, próby w Polsce zaczną się w przyszłym roku. Tekst powstaje, będzie to opowieść o trzech kobietach, o granicach sztuki i tożsamości oraz możliwościach ich przekraczania.

Jest jakaś granica, którą chciałabyś przekroczyć?

– Brazylijsko-urugwajska (*śmiech*). ●

